



Podczas rozmowy w przytulnej kawiarence poruszyliśmy z autorem retro kryminałów o komisarzu Maciejewskim nie tylko kwestie dotyczące przeszłości i zainteresowań Pana M. Wrońskiego oraz szeroko pojętego pisarstwa, ale także tematy dotyczące stricte książek autorstwa lubelskiego pisarza oraz taktyki pisarskiej i sposobu ich powstawania. Oto zapis tej części rozmowy.

Pierwsze pańskie opowiadania SF ukazały się w nakładzie trzech egzemplarzy. Czy okres pierwszych prób literackich był trudny? Nie zniechęciło Pana to, że może nie wszyscy odbierali je pozytywnie?

Z tymi trzema egzemplarzami to był taki żart, bo po prostu tyle można było przez kalkę wystukać na maszynie. Prawda jest taka, że aby być pisarzem- podobnie, jak sądzę, aktorem czy dziennikarzem - trzeba mieć w sobie odrobinę przyrodzonej bezczelności. Normalny człowiek myśli sobie: „mam swoje życie, ale co moje życie może obchodzić kogoś poza przyjaciółmi, mamą i tatą?”. Natomiast pisarz jest kimś, kto czuje wewnętrzną potrzebę mówienia o sobie, przekonywania innych do czegoś, prawie jak polityk, i po prostu pięknie, jeśli tego nie zrobi. W pewnym sensie było to w moim przypadku bardzo spontaniczne, realizowało jakąś tam moją potrzebę. Z drugiej strony... No tak, to jest trudne. Zderzenie się z krytyką, z tym, że to, co robię i co wydaje mi się najważniejsze na świecie, może kogoś zupełnie nie obchodzić, zupełnie się nie podobać, zawsze jest trudne. Na to trzeba się zwyczajnie uodpornić. Czasem z niepokojem obserwuję, że pisarze młodszy ode mnie wykazują zupełny brak odporności na krytykę - to raz - i na to, że za mało zarabiają- to dwa. Niestety, tak to wygląda. W każdej armii na świecie trzeba przeczłochać się po błocie, żeby zostać generałem, a żeby stać się pisarzem w miarę znanym - nie mówię gwiazdą, celebrytą, noblistą, laureatem Nike- ale w miarę znanym pisarzem, który ma już wierne grono swoich czytelników, trzeba się napracować. Chodzi zarówno o pracę nad tekstem - żeby był ciekawy i dobrze się czytał, jak i pracę promocyjną - jeżdżenie na spotkania, nieunikanie mediów, branie udziału w imprezach, co oczywiście na początku robi się głównie na własny koszt, dopiero potem można sobie życzyć honorarium.

Teraz Pana książki otrzymują wiele pozytywnych recenzji, ma Pan mnóstwo wiernych czytelników. Daje to Panu poczucie satysfakcji? Jest spełnieniem pańskich marzeń?

Tak, ale z drugiej strony nie jestem do końca zadowolony. Prawdopodobnie gdybym był, już nie chciałoby mi się pracować nad swoimi tekstami, nad tym, żeby były coraz lepsze. Zresztą... Gdyby Pani przyszła jako dobra wróżka i powiedziała mi dziesięć lat temu, że będę w tym miejscu, w którym jestem, prawdopodobnie powiedziałbym, że jest Pani kochana, ale i tak Pani nie wierzę, że to jest niemożliwe. Zapewne również powiedziałbym Pani, że gdyby tak się stało, to już niczego w życiu bym nie chciał, że to spełniłoby moje oczekiwania. No, ale wygląda to trochę inaczej... Nie wiem, czy Pani lubi chodzić po górach...

Uwielbiam...

W takim razie na pewno Pani zauważyła, że jak się wejdzie na jakąś górę, to zawsze widać jeszcze wyższą i chce się na nią wejść.

Jest Pan bardzo płodnym pisarzem. Skąd czerpie Pan inspiracje do swoich powieści?

Przede wszystkim nie powiedziałbym, że jestem pisarzem szczególnie płodnym. Znam płodniejszych. Chcę tutaj powiedzieć ważną rzecz: bycie pisarzem to nie tylko realizowanie jakiejś pasji, kontakt z czytelnikami za pomocą literek, ale również taktyka. Nie jestem Wiesławem Myśliwskim, który raz na pięć albo dziesięć lat tworzy książkę piękną. Ja piszę książki atrakcyjne, to jest troszeczkę coś innego. Nie mam innego wyjścia, jak wydać co najmniej jedną książkę rocznie nie tylko dlatego, że skończą mi się pieniądze na czynsz i chleb z masłem, ale dlatego że takich autorów jest wielu. Czytelnik, gdyby raz w roku nie dostał mojej książki, gotów by był o mnie zapomnieć. To nie jest więc płodność wynikająca wyłącznie z tego, że mam taką niespożytą energię, ale też z tego, że muszę tak robić w moim zawodzie. Natomiast pomysły przychodzą mi do głowy najczęściej przy pracy nad dokumentacją do książki. Jak Pani na pewno wie, żeby napisać książkę historyczną, trzeba się naczytać dawnej prasy, opracowań historycznych. Na ogół bywa tak, że kiedy zbieram materiały do książki, nad którą pracuję, czytam też teksty, które do tej książki zupełnie się nie przydadzą, ale nie wiem tego, kiedy po nie sięgam. Niejednokrotnie odnajduję w takich dokumentach rzeczy bardzo ciekawe, tylko nie do tej powieści, nie do tego pomysłu. I tak też rodzi się pomysł następny. Czasem również przyjaciele w rozmowach, kiedy poruszamy różne tematy, mówią coś, co nagle wydaje mi się interesujące. Trzeba to trochę przerobić i już jest pomysł na następną powieść.

Pańskie nazwisko kojarzone jest głównie z serią kryminałów retro o komisarzu Maciejewskim. Zyga jeszcze się Panu nie znudził, nie brakuje Panu pomysłów na tę postać?

Nie, nie znudził mi się. Wręcz zaczynam się bać, czy nie zostanę Agathą Christie - to była dopiero płodna pisarka, gdzież mnie do niej!- która pisała ciągle o Pannie Marple i Poirotcie, o niczym więcej. Prawdopodobnie w pewnym momencie, gdyby nawet bardzo chciała, nie potrafiłaby pisać o niczym innym, bo trudno się nie zafiksować. Mam nadzieję, że ze mną tak nie będzie. Natomiast rzecz jest też prozaiczna. Jak już mówiłem, pisanie jest zawodem. Ja po prostu mam umowę na dziesięć Maciejewskich, muszę napisać dziesięć Maciejewskich i już, bo będę musiał zwracać forszę.

Najnowszy kryminał o Maciejewskim nosi tytuł „Haiti”. Dlaczego akurat taki tytuł nadał Pan tej powieści?

Takie imię nosi klacz, która jest bardzo istotną bohaterką mojego szóstego kryminału. Nie będę mówił dlaczego, bo przecież dosłownie za chwilę, 2 kwietnia, ta powieść będzie dostępna w księgarniach. Staram się, żeby każdy z moich kryminałów, mimo że jest częścią cyklu, był trochę inny stylistycznie, nastrojowo od pozostałych. Tym razem, robiąc badania wśród przyjaciół i znajomych, pomyślałem sobie, że tytuł „Haiti” bardzo podoba się kobietom. Większość miłośników koni, z tego, co zauważyłem, to kobiety. Koń, Haiti, kobieta - to wydało mi się do siebie bardzo pasujące. Ostatecznie do tego tytułu przekonała mnie autorka świetnych kryminałów - Katarzyna Bonda, która zapytała mnie, czy mam już tytuł do książki, nad którą pracuję. Powiedziałem „Haiti” i ona się zachwyciła. Wtedy już wiedziałem, że tak - to będzie działać.

Opisuje Pan wydarzenia, które mają miejsce kilkadziesiąt lat przed Pana narodzinami. Sam Pan wspominał, że przed przystąpieniem do pisania książki, kompletuje Pan dokumentację. Wymaga to od Pana poświęcenia bardzo dużej ilości czasu?

Strasznie trudno jest mi ten czas zmierzyć, ponieważ to nie jest do końca tak, że zaczynam pracę nad kolejną książką od zera. Tak, jak mówiłem, często wynika ona z materiałów przygotowywanych do poprzedniej. Poza tym, moja baza wiedzy rośnie sama z siebie. Niektórych informacji nie muszę szukać, bo już o nich wiem. Niemniej jednak jest to przynajmniej miesiąc, dwa miesiące zupełnie niezależne od samego pisania. Historia Lublina, zwłaszcza międzywojenna, jest dodatkowo tematem, który mnie pasjonuje tak po prostu. W przeciwnym wypadku zapewne nie napisałbym żadnego kryminału o Maciejewskim. Także wynika to też z lektur, po które sięgam nie dlatego, że muszę, że robię dokumentację, ale dlatego, że mnie interesują. Sięgam na przykład po kolejne wydawnictwo Bramy Grodzkiej, żeby zobaczyć, co tam oni nowego wydali, a potem niekiedy to mi się przydaje do kryminałów. Nie powiedziałem o jeszcze jednej ważnej rzeczy. Otóż, nie jestem w tym zainteresowaniu osamotniony. Michał Wójcik, który prowadzi fanpage Aj Law LUBLYN i zamieszcza na nim mnóstwo nieprawdopodobnych ciekawostek z naszego miasta - typu wydruk przedwojenny z wagi automatycznej- i ja wspólnie zarażamy się różnymi tematami. Moim przyjacielem i konsultantem jest też Robert Kuwałek, znany historyk, zajmujący się zwłaszcza lubelskimi Żydami. Kiedy spotykamy się czysto towarzysko, rozmawiamy o tym, co ostatnio przeczytaliśmy, co widzieliśmy, więc zbieranie materiałów czasami odbywa się nie w bibliotece, ale w knajpie.

Akcje pańskich powieści rozgrywają się przeważnie w Lublinie- mieście, w którym, według wielu, ludzi brakuje perspektyw. Co Pan o tym sądzi i co Pan myśli ogólnie o Lublinie?

Proszę Pani, gdyby Pani widziała Lublin wtedy, kiedy ja jeszcze byłem młodą, uroczą dziewczyną, to wtedy by Pani dopiero zobaczyła, co znaczy miasto bez perspektyw. Grzechem jest dziś tak mówić, po prostu. Dzisiejszy Lublin w porównaniu z tamtym szarym, ohydny Lublinem, z którego chciałem uciec, jest miastem autentycznie pięknym. Dzieje się tutaj mnóstwo rzeczy- jeżeli chce Pani coś ze sobą zrobić w piątek wieczorem, sobotę wieczorem, a nawet we wtorek wieczorem, to ma Pani ofertę na pół strony gazety co najmniej. Kiedyś tak nie było. Natomiast brak perspektyw w sensie pracy.. Tak, tu się zgodzę, ale w tej sytuacji jest większość polskich miast, w tym miasta od Lublina większe. To jest pewien znak czasów, a nie coś, za co powinniśmy winić Lublin. Ciekawe... Może po prostu chodzi o to, że niezależnie od tego, jak obiektywnie jest, zawsze chcemy, żeby było lepiej. Ja w każdym razie widzę ogromną różnicę. Nie mogę jej nie widzieć. **Ten Lublin teraz a ten Lublin lat osiemdziesiątych - to są dwa osobne zjawiska.**

Jak wygląda proces pisania przez Pana książki? Zamyka się Pan w pokoju na kilka godzin czy raczej pisze Pan wszędzie, gdzie się da?

Staram się. Staram się umieć pisać wszędzie, bo gdy podróżuję, jeżdżę na spotkania autorskie, a ich jest w roku całkiem sporo, taka umiejętność się przydaje. Bardzo chciałbym umieć pisać w pociągu, w autobusie i nawet czasami mi się to udaje, ale najbardziej lubię zamknąć się w pokoju, usiąść przy moim biurku, które uwielbiam, przy klawiaturze, do której mam już ułożone palce i w otoczeniu wszystkich moich książek. To jest dla mnie komfort pracy, ale staram się też pisać, gdzie się da. Rozumiem jednak, że istotą Pani pytania jest to, czy nie jest tak, że sobie idę, mam natchnienie i piszę coś na serwetce. Oczywiście, zdarza się coś takiego zanotować, ale to są raczej luźne myśli, jakieś pomysły, które tak naprawdę rozwinąć trzeba w spokoju. Prozaik nie poeta. Proza wymaga rzemiosła, poezja wymaga natchnienia. Nawet jeśli mam coś w rodzaju natchnienia, chociaż w to nie wierzę, czy mi się to podoba, czy nie, żeby ten moment jakiegoś przebłysku przyoblekł się w kształt strawny dla czytelnika, to i tak muszę spędzić co najmniej kilka godzin pracowicie stukając w klawiaturę, a wcześniej sporządzić plan. Tak naprawdę pisanie prozy, zwłaszcza kryminalnej, zaczyna się od sporządzenia planu, bo inaczej pogubiłbym się w swojej własnej powieści.

Czy zdarzyła się Panu kiedyś taka sytuacja, że w trakcie pisania książki nagle urywał się Panu wątek i nie miał Pan pojęcia, co napisać dalej?

Tak, ale to było kiedyś, zanim przekonałem się, że trzeba robić plan. Gdy mam plan, zanim zacznę pisać, nigdy się nie zgubię. Może mi się co najwyżej nie chce któregoś dnia, mogę się

Maciejewski zwany Zyga - między historią a intrygą

Wpisany przez Paulina Basiak

czwartek, 27 marca 2014 18:28 - Poprawiony czwartek, 27 marca 2014 18:41

źle czuć, może mi nie wychodzić praca, ale gdy mam plan, zawsze wiem, co pisać.

Jeśli już po napisaniu planu i rozpoczęciu pracy nad książką dojdzie Pan do wniosku, że warto coś dodać lub zmienić...

Dodaję, zmieniam. Wyrzucam nawet kilka stron, jeśli są bez sensu. Tak, warto to robić. Lepsze tylko niekiedy bywa wrogiem dobrego.